

Tom III

Rozdział 1

Pamiętnik starego subiekta

Mamy tedy rok 1879. Gdybym był przesądny, lękałbym się tego roku. Bo jeżeli jego poprzednik zakończył się źle, to on zaczął się jeszcze gorzej. Anglicy, jeszcze nie wygrzebawszy się z Afganistanu, już mają wojnę w Afryce z jakimiś Zulusami. Tu, w Europie, wybuchła dżuma w okolicach Astrachania i lada dzień może do nas zajrzeć. Co my mamy przez tę dżumę! Kogo spotkam, mówi:

„Co, dobrze wam sprowadzać perkaliki z Moskwy? Zobaczysz pan, że razem z nimi sprowadzicie morową zarazę.”

Właściwie mówiąc, chciałem na tym oto miejscu napisać historię niesłychanej sprawy kryminalnej, którą pani baronowa Krzeszowska wytoczyła tej pięknej, tej poczciwej, tej kochanej pani Helenie Stawskiej. Ale taka mnie pasja ogarnia, że nie mogę myśli zebrać. Więc dla rozerwania uwagi napiszę sobie o czym innym.

Stach przez wrzesień był na wsi u przesowej Zasławskiej. Po co on tam jeździł, co robił? Z paru listów, które do mnie napisał, widzę, że musiało mu się dziać nieosobliwie. Jaki diabeł sprowadził tam pannę Izabelę Łęcką? Przecież nią się już chyba nie zajmuje. I będę chłystkiem, jeżeli go nie wyswatam z panią Stawską.

W listopadzie, właśnie w tym samym dniu, kiedy zawałił się dom na ulicy Wspólnej, Wokulski wrócił z Moskwy. I znowu nie wiem, co tam robił, dość, że zarobił około siedemdziesięciu tysięcy rubli. Takie zyski przechodzą moje pojęcie, ale przysięgnę, że interes, do którego Stach należał, musiał być uczciwy.

W parę dni po jego powrocie przychodzi do mnie jeden solidny kupiec i mówi:

– Kochany panie Rzecki, ostrzeż pan Wokulskiego, że jego wspólnik Suzin to wielki hultaj i zapewne niedługo zbankrutuje. Naturalnie, że opowiedziałem o tym Stachowi, który wysłuchawszy odparł:

– Uspokój się, mój kochany. Ci sami ludzie, którzy mnie ostrzegają, że Suzin jest hultaj, przed miesiącem pisali do Suzina, że ja jestem bankrut, szachraj, eks-powstaniec.

W październiku, jakoś w tym czasie, kiedy Matejko skończył malować bitwę grunwaldzką, wpada do sklepu Maruszewicz. Widzę – magnat całą gębą! Na brzuchu złota dewizka gruba na pół palca, w krawacie brylantowa spinka, nowe rękawiczki, nowe buty, nowy garnitur. Rozejrzawszy się niespokojnie pyta:

– Pan Wokulski jest?... Ach, pan Rzecki!... Na słówko... Z wyborną nowiną przychodzę – mówi. – Możecie panowie sprzedać swoją kamienicę, tę po Łęckim... Baronowa Krzeszowska ją kupi. Już wyprocesowała od męża swoje kapitały i da dziewięćdziesiąt tysięcy rubli.

Wieczorem powiedziałem o tym Stachowi, ale on zbył mnie milczeniem, co mnie nawet zastanowiło. Więc na drugi dzień pobiegłem do naszego adwokata i zakomunikowałem mu wiadomość Maruszewicza.

– Daje dziewięćdziesiąt tysięcy rubli... – zdziwił się adwokat. – Ależ, drogi panie Rzecki, teraz kamienie idą w górę. W tych warunkach, drogi panie Rzecki, jeżeli sprzedamy im nasz dom za sto tysięcy rubli, zrobimy im łaskę.

Pożegnałem adwokata i wróciłem do sklepu mocno postanawiając nie mieszać się już do sprzedaży kamienicy. Teraz dopiero przyszło mi na myśl, że Maruszewicz jest to wielki frant.

Obecnie uspokoiwszy się o tyle, że już mogę zebrać myśli, opiszę wstrętny proces pani baronowej z tym aniołem, z tą doskonałą kobietą, panią Stawską. U pani Stawskiej bywałem dosyć często. Ktoś obcy mógłby myśleć, że bywam u pani Stawskiej za często. Ja jednak po dojrzałej rozwadze doszedłem do przekonania, że bywałem za rzadko. W jej mieszkaniu miałem przecie doskonały punkt obserwacyjny na całą kamienicę, no i przy tym byłem życzliwie przyjmowany. Pani Misiewiczowa (zacna matka pani Heleny), ile razy przyszedłem, witała mnie otwartymi rękoma, mała Helunia wskakiwała mi na kolana, a sama pani Stawska ożywiła się na mój widok i mówiła, że w tych godzinach, które u niej przepędzam, zapomina o swoich kłopotach!

W czasie tych wizyt zrobiłem kilka ważnych spostrzeżeń. Naprzód ci studenci, z trzeciego piętra od frontu, byli to istotnie ludzie niespokojnego ducha. Do godziny drugiej po północy śpiewali i krzyczeli, czasami nawet ryczeli. W ciągu dnia, jeżeli tylko pani baronowa Krzeszowska wychyliła głowę przez lufcik, zawsze jej ktoś usiłował wylać z góry wodę na głowę. Wieczorami zaś ci młodzi ludzie zwoływali do siebie praczki i służące z całej kamienicy.

Drugie moje spostrzeżenie odnosiło się do Maruszewicza, który mieszkał vis a vis pani Stawskiej. Człowiek ten regularnie nie płaci komornego. Regularnie co parę tygodni wnoszą mu mnóstwo gratów z mieszkania: jakieś posągi, lustra, dywany, zegary... Ale co ciekawsze – również regularnie do lokalu przynoszą mu nowe lustra, nowe dywany, nowe zegary i posągi.

Ale co mi tam do cudzych interesów!

Jednego dnia, w początkach listopada, rzekł do mnie Stach:

– Podobno bywasz u tej pani Stawskiej?

– Przepraszam cię – zawołałem – jak mam to rozumieć?

– W najzwyczajniejszy sposób – odparł. – Przy pierwszej sposobności oświadczyć tym paniom, że miałem list z Paryża o Ludwiku Stawskim.

– Znaleźli go nareszcie?

– Jeszcze nie, ale już są na tropie.

Gdy mu zacząłem przedstawiać, jakie to zacne kobiety, jak wypytywały się, czy ich kiedy nie odwiedzi?... a gdy jeszcze napomknąłem, że warto by rzucić okiem na kamienicę, zaczął mięknąć. W końcu dał się namówić i pojechaliśmy tam około pierwszej w południe.

Stach niedbale rozejrzał się po oknach domu i bez najmniejszej uwagi słuchał mego sprawozdania. Daliśmy nową podłogę w bramie, wyreperowaliśmy dachy, odmalowaliśmy ściany, myliśmy schody co tydzień. Słowem, z zaniedbanej zrobiliśmy wcale okazałą kamienicę. Wszystko było w porządku oprócz komornego.

Weszliśmy na pierwsze piętro. W saloniku matka pani Stawskiej, jak zwykle, robiła pończochę; zobaczywszy nas uniosła się nieco z fotelu i zdziwiona przypatrywała się Wokulskiemu. Z drugiego pokoju wyrzała Helcia.

– Mamo! Przyszedł pan Rzecki i jeszcze jakiś pan.

W tej chwili wyszła do nas i pani Stawska. Widząc obie damy odezwałem się:

– Nasz gospodarz, pan Wokulski, przychodzi złożyć paniom uszanowanie i zakomunikować wiadomości.

Siedliśmy. Wokulski zapytał panie, czy są zadowolone z lokalu, a następnie opowiedział im, że Ludwik Stawski był przed dwoma laty w New Yorku, a następnie przeniósł się do Londynu pod przybranym nazwiskiem. Napomknął z lekka, że Stawski był wówczas chory i że za parę tygodni spodziewa się o nim stanowczych wiadomości.

Pani Stawska była spokojna, tylko parę łez stoczyło się jej po twarzy. Aby ukryć wzruszenie, zwróciła się z uśmiechem do córeczki:

– Podziękuj, Heluniu, panu, że nam przyniósł wiadomości o tatce.

Helunia zrobiła dyg przed Wokulskim, nagle schwyciła go za szyję i ucałowała w same usta. Nieprędko zapomnę zmian, jakim uległa fizjonomia Stacha wobec tak niespodzianych pieszczoł. Ponieważ, o ile wiem, jeszcze nigdy nie pocałowało go żadne dziecko, więc w pierwszej chwili cofnął się zdziwiony, potem objął Helunię za ramiona, wpatrywał się w nią ze wzruszeniem i pocałował w głowę. Byłbym przysiągł, że wstanie z krzesła i powie pani Stawskiej: „Pozwól pani, ażebym zastąpił ojca tej kochanej dziecinnie.”

Ale... nie powiedział tego; spuścił głowę i wpadł w zwykłą sobie zadumę. Dałbym połowę mojej rocznej pensji, ażeby dowiedzieć się, o czym on wtedy myślał? Może o pannie Łęckiej?

Po paruminutowym milczeniu Wokulski spytał:

– Zadowolone panie z sąsiadów?

– Jak z których – odezwała się pani Misiewiczowa.

– Owszem, bardzo – wtrąciła pani Stawska. Przy tym spojrzała na Wokulskiego i zarumieniła się.

– Czy i pani Krzeszowska jest równie miłą sąsiadką? – spytał Wokulski.

– To nieszczęśliwa kobieta – odparła pani Stawska. – Straciła córkę.

Znudził mnie już Wokulski swoją rozmową. Trzeba być półgłówkiem, ażeby tak piękną kobietę wypytywać o współlokatorów! Przestałem go słuchać i począłem wyglądać na podwórze. I oto, com zobaczył... W jednym z okien Maruszewicza uchyliła się roleta i przez szparę z boku można było dojrzeć, że ktoś patrzy w naszą stronę.

Zwróciłem oczy ku drugiemu piętru od frontu. W najdalszym pokoju pani baronowej Krzeszowskiej oba łufciki otwarte, a w głębi widać ją samą, jak przypatruje się lokalowi pani Stawskiej przez teatralną lornetkę.

Wokulski wstał z krzesła i zaczął żegnać damy.

– Tak prędko panowie odchodzą! – szepnęła pani Stawska i w tej chwili ogromnie zmieszana się.

Safandula Stach, zamiast poprosić panie, ażeby pozwoliły mu bywać co dzień, ten dziwak, zapytał się: czy nie potrzebują jakich reperacji w mieszkaniu...

– O, już wszystko, co było potrzebne, zrobił pocziwy pan Rzecki – odparła pani Misiewiczowa.

W kuchni Stach zatrzymał się na sekundę i rzekł:

– Trzeba by tu urządzić jaki wentylator albo co...

Na schodach nie mogłem już wytrzymać i zawołałem:

– Gdybyś tu bywał częściej, sam byś poznał, jakie melioracje należałoby zaprowadzić w tym domu. Ale co ciebie obchodzi dom albo nawet taka piękna kobieta!

Wokulski stanął w sieni i rzekł:

– Gdybym ją poznał wcześniej, może bym się z nią ożenił.

– A tak, to już się nawet nie ożenisz? – spytałem.

– Kto wie?... – odparł. – Może się i ożenię... Ale nie z nią.

Na ulicy Stach zawołał dorożkę i wróciliśmy do sklepu nie rozmawiając ze sobą. Jestem jednak pewny, że myślał o pani Stawskiej.

We trzy dni po naszej wizycie u pani Stawskiej przychodzi Stach do sklepu i podaje mi list, ale adresowany do niego.

– Przeczytaj no – rzekł ze śmiechem.

Otworzyłem – czytam:

„Panie Wokulski! Nieszczęsny człowieku! Jeszcze nie zrehabilitowałeś się ze swych dawniejszych występków, a już hańbisz się nowymi. Dziś o niczym więcej nie mówi całe miasto, tylko o twoich odwiedzinach u kobiety tak źle prowadzącej się jak Stawska. Już nie tylko miewasz z nią schadzki na mieście, nie tylko zakradasz się do niej po nocach, ale nawet odwiedzasz ją w biały dzień. Nie ładź się jednak, że sam tylko romans z nią prowadzisz. Pomaga ci jeszcze twój rządca, ten nędznik Wirski, i ten osiwiwały w rozpuście twój plenipotent Rzecki. Muszę dodać, że Rzecki nie tylko uwodzi ci twoją kochanicę, ale jeszcze okrada cię w dochodach z domu: pozniżał bowiem komorne niektórym lokatorom, a przede wszystkim tej Stawskiej. Skutkiem tego dom twój już nic niewart. Gdyby więc znalazł się taki dobrodziej, pozbądź się ciężaru, weź z wdzięcznością, co się da, i uciekaj za granicę. Posłuchaj rady życzliwego przyjaciela.”

– Zuch baba, co? – zapytał Wokulski spostrzegłszy, że już skończył czytanie.

– Niech ją diabli porwą! – zawołałem – Ja, według niej, osiwiiałem w rozpuście!... Ja kradnę!...

Ja romansuję!

– Uspokój się, bo już widzę jej adwokata – rzekł Stach.

Istotnie, w tej chwili wszedł do sklepu człeczyna w starym futrze, wypłowiiałym cylindrze i ogromnych kaloszach.

– Prezentuję się panom – rzekł. – Jestem adwokat...

Tu wymienił nazwisko i – tak został z rękoma w powietrzu. Dziwnym bowiem trafem ani Stach, ani ja nie czuliśmy ochoty do uściskania go.

– Jest tu jeden bogaty Litwin – mówił adwokat – który prosił mnie, ażebym mu nastreczył do nabycia jaką kamienicę. Mam ich z piętnaście, ale nastreczyłem mu pańską, tę po Łeckim, i po dwutygodniowej pracy nad nim tyłem zrobił, że gotów dać osiemdziesiąt tysięcy rubli. Kokosowy interes. Nieprawdaż?

Wokulski zaczerwienił się z gniewu, a przez chwilę myślałem, że wyrzuci gościa za drzwi. Pohamował się jednak i odparł:

– Znam tego Litwina, nazywa się baronowa Krzeszowska. Powiedz pan zatem swojemu Litwinowi – przerwał mu Stach – że sprzedam kamienicę, ale za sto tysięcy rubli. I to do Nowego Roku. Po Nowym Roku cenę podniosę.

– Daję panu dziewięćdziesiąt dwa tysiące rubli i ani grosza więcej – odparł adwokat.

– Żegnam pana – rzekł Wokulski otwierając drzwi.

Adwokat nisko uklonił się i wyszedł, zza proga zaś dodał słodkim tonem:

– To ja tu przyjdę za parę dni.

Wiedziałem już, co myśleć. Pani baronowa z pewnością kupi kamienicę Stacha, ale pierwiej użyje wszelkich środków, ażeby coś utargować. Skoro zaś kupi kamienicę, przede wszystkim wypędzi z niej studentów, a zapewne i biedną panią Helenę. Gdybyż choć na tym ograniczyła swoją nienawiść.

Po wizycie adwokata postanowiłem odwiedzić panią Stawską i ostrzec ją, ażeby się miała na baczności przed baronową. Tymczasem akurat o wpół do dziewiątej zachciało mi się pić i – zamiast do pań, poszedłem na kufelek. Był już tam radca Węgrowicz i Szprot, agent handlowy. Właśnie mówili coś o tym domu, co zawalił się przy ulicy Wspólnej, kiedy naraz Węgrowicz trąca swoim kuflem w mój kufel i mówi:

– Niejeden się to jeszcze dom zawalił przed Nowym Rokiem!

A Szprot mrugnął okiem. Nie podobało mi się jego mruganie, więc pytam:

– Cóż to, panie, mają znaczyć pańskie pantominy?

– Przecież pan wie lepiej aniżeli ja, co to znaczy. Wokulski sprzedaje sklep. Żem go nie trzasnął kuflem w łeb, dziwię się samemu sobie.

– Po cóż by Wokulski miał sklep sprzedać?

– Dobrze robi, że sprzedaje! – odparł Węgrowicz. – Co on ma robić między kupcami, taki dyplomata.

– Mnie się zdaje, że jest inny powód – wtrącił Szprot. – Wokulski stara się o pannę Łęcką. A że panna Łęcka nie wyszłaby za galanteryjnego kupca...

W oczach zaczęły mi ognie latać. Uderzyłem kuflem w stół i krzyknąłem:

– Kłamiesz pan, panie Szprot! Satysfakcji żądam od pana – krzyknąłem, wciąż bijąc w stół.

– Jesteś pan bez honoru! – zawołałem.

Teraz on zaczął bić w stół.

– Kto bez honoru? Komu pan to mówisz? Zobaczymy w sądzie, kto ma honor!

– Uspokójcie się! – prosił radca Węgrowicz. – Podajcie sobie ręce.

Wstałem od stołu zalanego piwem, zapłaciłem w bufecie i wyszedłem. Naturalnie, że po takim wzburzeniu nie mogłem już być u pani Stawskiej. A gdy Stach przyszedł na drugi dzień do sklepu, zapytałem go:

– Wiesz, co mówią? Że sklep sprzedajesz?

– A choćbym sprzedał, cóż by w tym było złego?

– Ale bo widzisz – szepnąłem – mówią jeszcze, że żenisz się z panną Łęcką.

– Więc i cóż? – odparł.

Naturalnie, ponieważ tego wieczora musiałem pójść nie tyle na piwo, ile ażeby pogodzić się z niesłusznie obrażonym Szprotem, więc znowu nie byłem u pani Stawskiej.

Tak więc dowiedziałem się, że sklep nasz będzie sprzedany i że Stach żeni się z panną Łęcką. Dziś już wiem, za kim on tęsknił w Bułgarii, dla kogo zębami i pazurami zdobywał majątek... Ha, wola boska!

Rozdział 2

Pamiętnik starego subiekta

Jednego wieczora, zaraz po ósmej, poszedłem do tych pań. Pani Stawska swoim zwyczajem w ostatnim pokoju odrabiała lekcje z jakimiś panienkami, a pani Misiewiczowa z Helunią znowu swoim zwyczajem siedziały w oknie. Przysiągłbym, że pani baronowa w jednym ze swoich nieoświetlonych okien siedzi z lornetą i penetruje pierwsze piętro.

Cofnąłem się tedy za firankę, ażeby mnie ta poczwara nie widziała, i pytam pani Misiewiczowej:

– Bez obrazy pani dobrodziejki, dlaczego panie tak ciągle siedzicie w oknach? To niedobrze.

– Jak tu nie wyglądać oknem – westchnęła pani Misiewiczowa – kiedy to nasza jedyna przyjemność. Czy my gdzie bywamy? Czy kogo widzujemy? Od czasu jak Ludwik wyjechał, zerwały się nasze stosunki z ludźmi. Dla jednych jesteśmy za ubogie, dla innych podejrzane. O, panie Rzecki – mówiła staruszka płacząc – wierz mi, że dla takich jak my nieraz okno starczy za teatr, koncert i znajomości. Bo i na co my już mamy patrzeć?

Nie potrafię opisać, jak mi się zrobiło smutno. Nagle w drugim pokoju zrobił się szelest. Uczennice pani Stawskiej skończywszy lekcję zabierały się do domu, a ich przecudna nauczycielka uszczęśliwiła mnie swoim widokiem.

– Mówiła panu mama – rzekła pani Stawska – jaki nas dziś spotkał honor? Niech pan sobie wyobrazi, że miałyśmy dziś wizytę baronowej... W pierwszej chwili zląkłam się, ale rozbroiła